



PIOTR PATYKIEWICZ

Otchłań

Piotr Patykiewicz

Krawędź: Otchłań



1

Białe mury klasztoru, wzniesione na podłużnym grzbiecie wyniosłej skały, która niczym cypel doczepiony do podnóży gór sterczała ponad doliną – takie było najwcześniejsze wspomnienie Najdka. Liczył sobie wtedy zapewne około pięciu lat, przynajmniej na tyle ocenili go pielgrzymi, którzy znaleźli zagubionego na leśnym dukcie chłopca, półżywego z głodu i zimna. Miał szczęście, że trafił na dobrych ludzi, którzy nakarmili go, odziali i zabrali ze sobą w dalszą drogę. Żałował potem, że nie zapamiętał ich twarzy ani głosów; zresztą wszystko, co wydarzyło się wcześniej, zasnuwała mgła.

Kiedy podrósł nieco, zrozumiał, że tak jest lepiej. Nie musiał przynajmniej tęsknić za tym, co utracił.

Dotarli na miejsce w przeddzień święta Jutrzni. W podklasztornej wsi tłoczyli się miejscowi i przybysze, ujadaly psy, skrzypiały koła wozów. Na szerokich łąkach u stóp skały układano już stosy drewna na ogniska, wytaczano beczki z piwem, ćwiartowano mięsiwo. W tę najkrótszą w roku noc nikt nie kładł się spać. Chłopak stracił w tłumie z oczu swoich wybawicieli. Usiadł wprost

na trawie. Ktoś wetknął mu w rękę kawałek podpłomyka, ktoś inny zapytał o imię, ale Najdek nie wiedział, co odpowiedzieć. Po zmierzchu rozpoczęła się gwar na biesiada pod gwiazdzistym niebem, która szybko zamieniła się w pijatykę, pełną ochrypłych wrzasków i pisków kobiet. Bał się poruszyć, bardziej przerażony niż w lesie; ogniska trzaskały, ziemia dudniła pod stopami tańczących, ich cienie łopotały niczym czarne sztandary. A o północy nagle powietrze przeszył wysoki gwizd i gdzieś wysoko z hukiem zaczęły wybuchać fajerwerki, niczym wielobarwne, płomienne kwiaty, aby potem opaść na rzekę deszczem dogasających iskier.

Niedługo przed świtem ucichły śpiewy, ognie przygasty, zrobiło się chłodniej. Niebo zszarzało, wszyscy patrzyli w stronę wschodu. Gdy ponad wzgórzami wykwitły liliowe światła brzasku, nad łąkami przetoczył się głos klasztorного dzwonu. Nad światem rozlewała się z wolna słoneczna Łaska, żeby pokrzepić wszystko, co żywe, a ludzie – dobrzy i źli, mądrzy i głupi, pracowici i gnuśni – pokornie oddawali jej cześć. Najdek, choć nikt mu tego nie wytłumaczył, całym sobą odczuł wyjątkowość tego poranka. Razem z innymi patrzył prosto w Słońce, aż oczy wypełniły się łzami.

Do południa łąki opustoszały. Chłopak nie ruszył się z miejsca. Usnął na parę godzin, a kiedy się obudził, poszukał w trawie napęczniałych od rosy okruców podpłomyka. Pielgrzymi nie pojawili się więcej, lecz gdy zaczęło się zmierzchać, pochyliła się nad nim jakaś siwa kobieta o dobrych, uśmiechniętych oczach. Mówiła coś, ale

nic nie rozumiał, osłabiony głodem i strachem. Wzięła go za rękę i poprowadziła aż do podnóża skały, potem w górę nieskończenie długich, bardzo stromych schodów, wykutych wprost w zboczu, a dalej wąziutkim skalnym przesmykiem, który łączył stok góry zwanej Rogaczem z okutą klasztorną bramą, ponad którą lśniło wielkie, miedziane wyobrażenie Słońca. Po obu stronach ścieżki ziała przepaść. Uchyliła się ze skrzypieniem mała furtka osadzona w skrzydle bramy. Najdek zobaczył duży dziedziniec ze stojącą pośrodku przysadzistą, zwężającą się ku górze wieżą, która wówczas wydała mu się niebosiężna, choć miała zaledwie cztery piętra; ostatnie promienie słońca rozpały barwy w witrażach wąskich okien. Obok wznosiło się rusztowanie dzwonnicy, kamieniny przęgierz i wielka żelazna misa ofiarna na trójnogu.

Jakiś człowiek rozhuśtał dzwon, szarpiąc za długi sznur. Czerwone odbłaski zachodzącego słońca zapalały się i gasły na spiżu. W grubych klasztornych murach czerniały otwory cel; uroczyste dźwięki wywabiły na dziedziniec odzianych w białe szaty mnichów pieśniarzy. Było ich dwunastu, bosonogich, wyniszczonych postami, bladych i podobnych do siebie niczym rodzeni bracia. Ustawili się wokół misy, w której już zarzyły się węgielki. Każdy rzucił do środka szczypkę drogocennego kadzidła, wyrabianego z rajskiego bursztynu. Gdy kłęby wonnego dymu wzbiły się ponad ich głowy, zaczęli śpiewać.

Zachwyt, który wówczas ogarnął Najdka, pozostał w nim także na następne lata, choć przecież słuchał tych

samych hymnów o każdym brzasku i zmierzchu. Pieśń była tak piękna, głosy mnichów współbrzmiały tak czysto, a ostatnie promienie słońca tak cudownie prześwieślały ofiarne dymy, że łatwo zapomniał o sobie, o własnym strachu i opuszczeniu. Woń kadzidła upajała. Doznał dziwnego wrażenia, jakby gdzieś wewnątrz otworzyły się tajemne oczy duszy. Widział wokół siebie twarze ludzi, te same, ale jakby odmienione, wypiękniałe i rozświecone; żadna z nich nie wydawała mu się teraz obca. Rozpierało go przecucie jakiejś radosnej niespodzianki, policzki mu pałały, dreptał w miejscu z podniecenia. Śpiew mnichów nabierał anielskiej harmonii, ogarniał stopniowo wszystkie zmysły. Dźwięki zmieniały się w barwy, prześwietlając kłęby dymu tęczowymi lśnieniami. Najdek pojął przyczynę, dla której pielgrzymi zadawali sobie trud dalekiej wędrówki; te pieśni oczyszczały duszę, uwalniały od brzemienia win, a tym, którzy zasłuchali się w nie z pokorą, pozwalały nawet zajrzeć na chwilę do Niebios. Był pewien, że lada chwila rozstąpi się sklepienie niebieskie, odsłaniając cuda tamtego lepszego świata.

Jednak nic takiego się nie stało. Śpiew przebrzmiał równo z zachodem słońca, dymy rozwiały się, pozostawiając wspomnienie zachwyty, któremu zabrakło spełnienia. Najdek rozplakał się, gdy tylko zrozumiał, że nie zdoła zatrzymać w sobie tego świętego uniesienia. Rozpostarło się nad nim zwyczajne, nocne niebo, pod stopami znowu poczuł bruk dziedzińca. Nikt nie dziwił się jego łzom.

Był jeszcze zupełnie oszołomiony, gdy po skończonej ceremonii wieczornej do grupy pielgrzymów

podszedł sam Mistrz – wysoki, wyprostowany sztywno starzec o wygolonej czaszce i długiej białej brodzie. Sięgająca kostek szata z szerokimi rękawami, przepasana sznurem, odbijała się jaskrawą żółcią – świętą słoneczną barwą – od surowego otoczenia. Wszyscy kolejno ucałowali jego kościstą dłoń, potem stara kobieta chwyciła Najdka za ramię i wypchnęła naprzód.

Mistrz pochylił się nad nim. Chłopak zobaczył z bliska jego szorstkie, zapadnięte policzki, garbaty nos i uważne, nieco zaczerwienione od zbyt długiego czytania oczy.

– Nie bój się, dziecko – powiedział łagodnie, gdy zauważył, że mały drży. – Tutaj nie spotka cię nic złego. Jesteś w domu.

Dali mu wełniany koc, drewnianą miskę z łyżką, olejny kaganek, wskazali jakąś szopę, ciemną i duszną, gdzie zwinął się natychmiast w kącie jak szczenię i spał bez przerwy przez dwie doby. Gdy wreszcie się obudził, wykąпали go w balii z bardzo gorącą wodą, ogolili głowę do gołej skóry, odziali w znoszone łachy – zbyt duże, musiał podwinąć nogawki i rękawy – a potem przydzielili codzienne obowiązki.

Taki był początek tego nowego życia, z dnia na dzień odmierzanego przez uderzenia dzwonu. O świcie, gdy mnisi śpiewali i palili kadzidła, kłaniał się razem z innymi posługaczami, strażnikami i uczniami budzącemu się Słońcu, najdoskonalszemu wcieleniu Łaski. Po skromnym śniadaniu biegł do pracy: czerpał wodę z podziemnej cysterny, pomagał w kuchni, zamykał dziedziniec, czasem posyłano go w różnych sprawach

do przycupniętej pod klasztorną skałą wioski. Chociaż chętnie spędzał czas za murami, gdzie było tyle ciekawych rzeczy, a górale często rzucali mu ze śmiechem jakiś przysmak, nigdy nie spóźniał się na obiad. Zjadał szybko kaszę ze skwarkami, pierogi z serem albo zupę rybną, a jeśli kucharz był w dobrym nastroju, mógł liczyć na dokładkę. Przed wieczorem, jeśli nie było do zrobienia nic pilnego, miał trochę czasu dla siebie. Wdrapywał się po wysokiej drabinie na szczyt muru, siadał z nogami opuszczonymi nad przepaścią i patrzył na skaliste wierchy, czasem rozśłonecznione, częściej zasłane chmurami. Marzył – choć gdyby ktoś zapytał go w takiej chwili, o czym właściwie rozmyśla, nie potrafiłby odpowiedzieć. Oczarowywała go zmienna barwa nieba, onieśmiał ogrom gór, pociągał bezkres. Czuł się trochę jak pisklę w gnieździe, które niecierpliwie czeka na swój pierwszy lot.



Najważniejszy był Mistrz. Od niego zależało wszystko, co działo się w klasztorze. Wierzono, że jego władza pochodziła bezpośrednio z Niebios. To właśnie jemu udało się najszybciej spośród innych mędrców ubiegających się o ten zaszczyt rozpałić za pomocą szkiełka i słonecznych promieni ogień w ofiarnym palenisku – znak dla wszystkich, że wskazała go Łaska.

Na ogół trudno było go spotkać; jeśli nie nauczał albo nie przewodził ceremonii ofiarnej przy ka-

dzielnicy, przesiadywał zwykle w swojej izbie u samego szczytu wieży, rozmyślając nad sprawami, które ogarnąć mogła tylko jego wyjątkowa mądrość. Szep-tano o nim, że potrafi czytać z gwiazd, ale wielu w to powątpiewało, bo przecież wielokrotnie zakazywał wstępu do wsi wędrownym wróżbiarzom, nazywa-jąc ich sługami demonów. Bywał surowy, ale spra-wiedliwy, rzadko się uśmiechał i nigdy nie podnosił głosu. Gorliwie czcił Słońce i z całej duszy kochał wiedzę zapisaną w zwojach, których ogromny zbiór gromadzono w wieży przez wieki. Chociaż podgórski klasztor wcale nie był większy od innych ani sławniej-szy, to właśnie tutaj każdego roku przybywały tłumy chłopców i młodzieńców chcących się uczyć. Mistrz nie mógł przyjąć wszystkich, a gdyby nawet to było możliwe, i tak wybrałby spośród nich tylko dwóch czy trzech najzdolniejszych, bez względu na zamożność ich rodzin czy rekomendacje różnych wysoko posta-wionych osobistości ze stolicy – Przymorza. Uważał, że prawdziwa mądrość jest skarbem, którego nie na-leży trwonić na byle kogo, bo nie każdy potrafi doce-nić go i uszanować. Przy całej swojej powściągliwości miał jedno niezmiennie pragnienie – aby klasztor-na szkoła zasłynęła wychowankami aż po najdalsze krań-ce świata.

Codzienny nadzór nad życiem klasztoru – osądza-nie występków, wynagradzanie zasług i roztrząsanie sporów – należał do małego, zasuszonego człowieczka o bardzo pomarszczonej twarzy, któremu przysługi-

wał tytuł Dzwonnika. Był ruchliwy, czujny, roztropny i zapobiegliwy. Wiedział wszystko o każdym z mnichów, strażników, uczniów i posługaczy. Nie był lubiany z powodu oschłości i braku wyrozumiałości dla zwykłych ludzkich przywar. Miał prawo nałożyć na każdego karny post, zamknąć w ciemnicy, a cięższe przewinienia skazać na chłostę pod pręgierzem. Kiedy wpadał w gniew, mówił szczególnie cicho i powoli, mrużąc bystre oczy, w których nieustannie czał się chłodny namysł. Ilekroć to uważne spojrzenie skupiało się na Najdku, chłopak odczuwał niepokój, nawet wówczas, gdy Dzwonnik uśmiechał się i kładł dłoń na jego schylonej pokornie głowie.

Ale musiał być posłuszny, ilekroć mnich wzywał go do pomocy w różnych swoich tajemniczych zajęciach, a z czasem nawet zaczęło go to ciekawić.

Najwięcej emocji przeżywał, zawsze gdy Dzwonnik zabierał go do nieczynnego kamieniołomu kawałek drogi za wsią, aby tam, pośród ognia, dymów i wybuchów, wypróbowywać działanie różnych łatwopalnych mikstur. Mówiono, że to wszystko po to, aby uświetniać klasztorne uroczystości coraz wspanialszymi fajerwerkami, ale Najdek wiedział, że to nie jest cała prawda. Widział proch, którym można było rozsadzać skały, widział dymiące race, które wzbijały się ze świstem wysoko w powietrze, widział jakieś czarodziejskie pręty, które, podpalone, żarzyły się bardzo długo, świecąc jaśniej niż łuczywo. Nie śmiał jednak o nic pytać, wracał wieczorem do klasztoru na wpół

ogłuszony, z osmałoną twarzą i palcami poparzonymi od ciągłego podpalania lontów, ale i pełen podziwu dla groźnej wiedzy mędrca.

Częściej jednak niż w kamieniołomie bywał w drewnianej nadbudówce dzwonnicy, gdzie stary mnich miał swoją pracownię.

Tutaj było spokojnie. W drucianych klatkach pod dachem gruchały gołębie, dzięki którym Dzwonnik utrzymywał łączność z innymi, nawet bardzo odległymi klasztorami. Wydawało się, że dla ptaków miał więcej ciepłych uczuć niż dla ludzi. Karmił je z ręki, pozwalał siadać sobie na ramionach i głowie. Całymi dniami wyczekiwał w otwartym oknie na powrót każdego z nich. Jeśli zdarzyło się, że któryś zaginął, spalał przy porannej ceremonii podwójną ilość kadzidła, jak to czyniono zwykle dla zażegnania groźby powodzi, zarazy albo nieurodzaju.

To jeszcze Najdek potrafił zrozumieć, ale inne zwyczaje Dzwonnika wydawały mu się całkiem niedorzeczne. Prawie każdego wieczora mnich wypuszczał z okna pracowni papierowe lampiony o otwartej podstawie, z ognikiem w środku, które unosiły się wysoko pod granatowe niebo albo odlatywały szybko, porwane przez wiatr. Śledził je zawsze uważnym spojrzeniem, dopóki nie zniknęły z oczu, a potem notował swoje spostrzeżenia. Ludzie psioczyli na to jego dziwactwo, bo czasem zdarzało się, że od spadających lampionów płonęły stogi siana albo nawet stodoły, ale czasem i korzystali na tym. Każdy wieśniak, który przyniósł do

klasztoru choćby nadpalony strzępek i powiedział dokładnie, gdzie go znalazł i kiedy, mógł spodziewać się w nagrodę miedziaka.

Niżej, na drewnianym pomoście pod dzwonem, mędrzec porozstawiał swoje lunety i mapy nieboskłonu. Tutaj Najdek nie mógł zaglądać – niebiańskie tajemnice wolno było zgłębiać jedynie najstarszym uczniom – ale zawsze gdy mijał pomost, wspinając się po wąskich schodkach do pracowni, z ciekawością zerkał na te zakazane dla prostaczków przyrządy.

Któregoś wieczora, gdy czyścił gołębnik, Dzwonnika wezwano w jakiejś pilnej sprawie do Mistrza i chłopak został sam. Opierał się pokusie tylko tak długo, póki słyszał na bruku dziedzińca kroki mędrca; kiedy tylko ucichły, zbiegł szybko na pomost i zasapany z przejęcia przyłożył oko do szkiełka wycelowanej ukosem w niebo lunety, uważając, aby jej przypadkiem nie poruszyć.

Zobaczył tuż przed nosem ogromną, sinozieloną, ospowatą tarczę Księżyca, do połowy zaciągniętą cieniem.

Wiedział jak wszyscy, że niedobrze jest przyglądać się zwodniczemu światłu, które nie daje ciepła ani życia. Księżyc powstał z pychy demonów, nie służył niczemu; istniał tylko po to, żeby przedrzeźniać Słońce i zaciemniać gwiazdy. Kto się na niego zapatrzył, miewał potem złe sny, nie potrafił skupić się na żadnej robocie, a w czasie pełni takie zagapienie mogło skończyć się nawet oczopląsem i krwotokiem z nosa.

Wiedział to wszystko, a jednak nie potrafił oderwać spojrzenia, choć truchlał z grozy. Poczuł się tak, jakby

został przyłapany na podglądaniu przez dziurkę od klucza Otchłani; jakby z drugiej strony niespodziewanie przyłożył swoje złośliwe ślepie demon. Zimna poświata wydobywała na jaw wszystkie jego najskrzętniej skrywane lęki. Zagubił się pośród nich, zatracił. Nie potrafił rozerwać niewidzialnej pajęczyny, która omotała mu duszę.

Nie wiadomo, jak by to się dla niego skończyło, gdyby nie Dzwonnik, który, wróciwszy po jakimś czasie, odepchnął go od lunety.

Chłopak upadł na deski pomostu, ogłupiały i roztrzęsiony. Głos mędrca ledwie przebijał się przez szum w uszach:

– Wygląda na to, że jesteś nie tylko nieposłuszny, ale i głupi. Nawet ja muszę pościć przez trzy dni, zanim odważę się spojrzeć na księżyc w takim zbliżeniu, a i to tylko na chwilę. Precz!

Potem przez kilka miesięcy Najdek krzyczał przez sen i sikał pod siebie. Z czasem to minęło, ale od tamtej pory wystrzegał się podnoszenia wzroku w bezchmurne księżycowe noce.



Niewielki oddział zbrojnych trzymano w klasztorze bardziej ze względu na tradycję niż prawdziwą potrzebę. Dawniej, kiedy doliny nie były jeszcze tak ludne, w okolicy kręciło się sporo podejrzanych włóczęgów, zbiegłych skazańców, dezerterów z książęcego

wojska albo pospolitych zbirów, którzy skrzykiwali się czasem w większe kupy, żeby rabować podróżnych i nękać wsie, zbrojny oddział był potrzebny. Parę razy zdarzyło się nawet, że rabusie próbowali oblegać klasztorne mury. Tamte czasy minęły, podgórze było teraz spokojne, ale garstka strażników pozostała. Rzadko już przywdziewali krótkie płaszcze do kolan, zakładali skórzane hełmy i przypasywali miecze – chyba tylko dla uświetnienia ważniejszych uroczystości. Przydawali się niekiedy do uśmierzania pijackich burd w karczmie, słychać było ich gwizdki w czasie jarmarków i większych świąt, gdy w dolinę przybywało wielu kupców i pielgrzymów. W mroźne zimowe noce strzegli traktu przed wilczymi watahami – jednak najczęściej siedzieli beczynnie. Dowódca Gurgul, ponury, ospowaty olbrzym, który dawniej podobno służył w stolicy przy księciu i został zesłany na prowincję z powodu zbyt wielu miłostek i pojedynków, nie narzucał podwładnym przesadnej dyscypliny, cenił sobie święty spokój i chętnie rozpamiętywał przy dzbanie podłego wina szumną przeszłość, jeśli tylko znalazł kogoś, kto zechciał tego wysłuchiwać.

Mnichów można było zobaczyć na dziedzińcu tylko o świcie i o zmierzchu. Cały pozostały czas spędzali w swych celach, nie przychodzili nawet do wspólnej jadalni, w samotności przeżywając jedyny skąpy posiłek w ciągu dnia. Nie rozmawiali z nikim, ich wargi musiały pozostać czyste, ofiarowali swoje głosy tylko Słońcu. Byli wybraniami; ich jedynym zadaniem było

zbliżyć się w śpiewie najbardziej jak to możliwe do ideału anielskiego chóru. Każdy z nich musiał pomyślnie przecisnąć się przez sito surowego przesłuchania. Tylko ci, których głosy Mistrz ocenił jako szlachetne i czyste, rozpoczynali pięcioletni nowicjat, doskonaląc się w pokorze, wyrzekając się własnych ambicji i pragnień, aby w ich chóralnym śpiewie nie zabrzmiał żaden fałsz. Najwytrwalszych dopuszczano do ślubowania, ale to jeszcze nie oznaczało, że mogli już odśpiewać na dziedzińcu swój pierwszy uroczysty hymn – musieli jeszcze czekać, nieraz długie lata, aż zwolni się miejsce w chórze z powodu sędziwego wieku, ciężkiej choroby albo śmierci jednego z Dwunastu.

Pomimo tej długiej, pełnej umartwień drogi, którą musieli przebyć, Najdek wiedział, że byli szczęśliwi. Gdy śpiewali, ich oczy rozświećlały się, a wątle policzki występowały rumieńce. Cieszyli się wielkim szacunkiem. W starych zwojach zapisano, że gdyby któregoś dnia umilkły hymny i zaprzestano by palenia kadzideł, Słońce mogłoby zgasnąć, a przecież bez jego Łaski, która przybierała postać światła i ciepła, nie było życia.

Najdek podziwiał mnichów, bał się ich trochę, ale nie zazdrościł im. W duchu był rad, że jego własny śpiew przypominał meczenie kozy, wykluczając go z tego trudnego powołania.



Z uczniami była inna sprawa. Mieszkali wszyscy razem w dolnej, najobszerniejszej izbie wieży, która była zarazem jadalnią i salą szkolną. Pracowali wprawdzie ciężko, niedosypiali często, aby opanować na pamięć treść zadanego przez Mistrza zwoju, bardzo rzadko dostawali zgodę na wyjście poza mury, ale za to corocznie paru z nich opuszczało klasztor na zawsze, przywdziałwszy uroczyste żółtą szatę mędrca i opasałszy się sznurem. Najdek patrzył z murów, jak oddalają się skalnym przesmykiem, postukując okutymi kijami podróżnymi. Wiedział, że mogą iść, dokąd zechcą, i nikt nie ma już prawa niczego im nakazywać. Wyobrażał sobie, że niezmiernie trudno jest dźwigać takie ciężkie od wiedzy głowy, dlatego podziwiał ich swobodną postawę i pewny krok. To musiało być wspaniałe uczucie – po dziesięciu latach pochylania się nad wpółzatartymi literami starych zwojów wreszcie mogli rozprostować karki i pełnymi garściami zbierać owoce swego trudu. Otwierał się przed nimi cały świat; zostawali lekarzami, prawnikami, nauczycielami w zamożnych domach, zajmowali ważne stanowiska w Przymorzu i w najważniejszych miastach. Wyróżniali się w tłumie, ustępowano im z drogi i zabiegano o ich względy.

Chociaż pośród uczniów było paru jego rówieśników, nie zaprzyjaźnił się z żadnym z nich. Nie starał się nawet zapamiętać ich imion. Nawet gdy odnosili się do niego uprzejmie – a nie zawsze tak bywało – nie zapominał ani na chwilę, jak bardzo się od nich różni.

Najbliższe stosunki łączyły go z odźwiernym. Sy-
piali w tej samej szopie, spędzali ze sobą dużo czasu
również za dnia. Zawdzięczał Cabajowi wiele, nawet
imię – to właśnie on pierwszy zaczął nazywać ma-
łego znajdę Najdkiem. Miewał ciężką rękę i niekie-
dy wysługiwał się chłopcem ponad miarę, ale kiedy
był w dobrym nastroju, pozwalał mu łyknąć nieco
słodkiego, czerwonego wina lub częstował pestka-
mi słonecznika, które lubił skubać, kiedy nie kurzył
swojej glinianej fajki. Nie był góralem, w przeciwień-
stwie do prawie wszystkich strażników i posługaczy.
Widział kawałek świata. W młodości na kupieckich
krypach wyprawiał się bardzo daleko, nawet do Wysp
Zewnętrznych po rajski bursztyn, ale jakoś nie dorobił
się majątku. Zabrakło mu szczęścia, a pewnie i ko-
niecznej w takim fachu bezwzględności. Wpadł po-
dobno w jakieś kłopoty, chociaż nikt nic pewnego nie
wiedział, bo wspominał o tym dość mętnie. Gdy po
kilkunastu latach na morzu, gdzie stracił prawą nogę,
zszedł wreszcie na ląd, nie miał gdzie się podziąć
i co żyć. Przytulił się na koniec w górskim klaszto-
rze, daleko od morza, i ogół cenił sobie święty spokój,
którego doczekał na stare lata. Codzienne obowiązki
odźwiernego nie wymagały wiele ruchu, dorobił się
więc szybko pokaźnego brzucha, który obnosił przed
sobą dostojnie, kuśtykając przez dziedziniec. Mógłby
codziennie opowiedzieć inną niesamowitą przygodę,
która przydarzyła mu się w czasie burzliwego żywota,
lecz niechętnie mówił o sobie. Czasem tylko, kiedy

wypił za dużo, rozgadywał się nieco. Chociaż niewiele z tego było godne powtarzania, zwłaszcza w obecności Dzwonnika, Najdek i tak słuchał chciwie – w klasztorze trudno było o inne rozrywki.

Od początku Cabaj traktował chłopca z szorstką nieco przychylnością, ułatwiając mu przetrwanie pierwszych, najtrudniejszych miesięcy. Czasem, gdy dokuczył mu za bardzo górski wiatr, odgrażał się pod nosem, że rzuci służbę i znowu ruszy na morze. Najdek z początku przejmował się tymi zapowiedziami, bo nie chciał się z nim rozstawać – do czasu gdy zrozumiał, że na swoim kulasie Cabaj nie doczłapałby nawet do sąsiedniej doliny.



Ilekoć bywał we wsi, nigdy nie zapominał skrócić z drogi w dół, gdzie w zakolu rzeki rozłożył się przysiółek drwali – kilkanaście małych chat na kamienistym brzegu, bez ogródków i sadów. Nad samą wodą wznosiły się stosy pni, podparte wbitymi w ziemię drągami. Miejscowi spychali je na wodę, wiązali w wielkie tratwy i każdej wiosny, kiedy rzeka przybierała, spławiali w głąb kraju, aż do samego morza. Na nizinach dawno już wytrzebiono większość lasów pod uprawne pola, a w tych, które pozostały, rzadko spotykano tak dorodne drzewa jak w górach – dlatego wyrąb trwał przez cały rok.

Powyżej zakola rzeki, gdzie stromy stok Rogacza schodził niemal do samej wody, ze skalistego urwi-

ska wytryskiwała spieniona struga; spadając z hukiem w toń ze sporej wysokości – pięciu chłopca, albo i lepiej – wydrążyła w rzeczonym dnie rozległe zagłębienie. Najdek lubił kąpać się tutaj, choć lekko rdzawa woda podziemnego strumienia była bardzo zimna. Mógł za to nurkować głębiej niż gdzie indziej, chwycić gołymi rękami raki albo podpływać pod sam wodospad, gdzie siekły go po plecach lodowate biczyska. Chłopcy ze wsi bali się tutaj przychodzić – opowiadano, że wypływający z wnętrza góry strumień jest zatruty, a i sami drwale niechętnie przyglądali się tym jego harcom – ale Najdka nigdy nie spotkało nic złego. Kładł się potem na rozgrzanych w słońcu kamieniach, wchłaniał ciepło i usypiał powoli, słuchając brzęczenia owadów.

Na płyciźnie w zakolu taplały się zaprzęgowe foki. Jako malec bał się ich trochę, choć spozierały na niego łagodnie czarnymi ślepiami. Gdy zobaczył je po raz pierwszy, wylegujące się w mule, wydały mu się tak ogromne i nieruchawe, że nie potrafił w ogóle wyobrazić sobie, jak uda im się doczołgać na głębię. Naliczył ich przy brzegu więcej jak trzy tuziny – grube, obłe, pokryte szarym futrem cielska o pofałdowanych karkach i płetwiastych kończynach. Słuchał ich głębokich, przejmująco żalosnych głosów; zdawały się skarżyć Niebiosom, wysoko zadzierając wąsate pyski. Nie wierzył, że są oswojone, dopóki nie zobaczył, jak jeden z drwali śmiało wszedł między nie, za pomocą długiej, zaostrej żerdzi odgonił dwie z nich od stada, a potem sprawnie zaprzągnął do ciężkiej tratwy.

W głębokiej wodzie nie wydawały się już tak nieporadne. Wystarczył jeden okrzyk drwala, by obróciły tratwę i pociągnęły ją w stronę głównego nurtu.

Czasem Najdkowi udawało się wyprosić u rzeźnika pozostałe po świniobiciu krwawe resztki – dzięki temu szybko wkupił się w łaski fok. Mógł klepać je pieszczotliwie po tłustych podgardlach i wybierać pasożytujące w fałdach skóry ślimaki. Pluskał się między nimi bez strachu, choć każdy nieostrożny ruch ciężkiego cielska mógł pogruchotać mu kości. Czasami brał kilka najmłodszych, skorych jeszcze do zabawy, na głębie, aż pod wodospad, gdzie baraszkowali razem, hałasując i nurkując aż do piaszczystego dna. Żaden z drwali nie bronił mu tych zabaw. Śmiali się, choć narzekali żartobliwie, że zwierzęta robią się od tego narowiste i nierówno płyną w zaprzęgu.

Najpiękniej w przysiółku bywało wieczorami, kiedy mieszkańcy rozpalali na brzegu ogniska, które odbijały się w czarnej wodzie, wieczerali wspólnie, śpiewali i tańczyli. Gospodarze ze wsi patrzyli na nich nieco krzywo, bo drwale zwykle trzymali się razem, na uboczu i nie bardzo lubili dopuszczać obcych do swoich spraw. Może uprawiający ziemię górale obawiali się też trochę tych nieokrzesanych siłaczy, którym często wypadało nocować w górach, a to, jak wiadomo, nikomu nie mogło wyjść na dobre. Drwale nosili długie, związane na plecach włosy, dłonie mieli stwardniałe od siekier, twarze spalone słońcem, a głosy ochryple od nawoływania się w głuszy. Do pasa przytracali noże

o szerokim ostrzu i rogi, w które dęli jedynie w razie wielkiego niebezpieczeństwa – ten, kto usłyszał takie wezwanie, bez względu na wszystko natychmiast ruszał na pomoc. Każdy nosił także przy sobie małe zwierniadełko, aby w pogodne dni przesyłać w dolinę sygnały świetlne. W górach mogli polegać tylko na sobie nawzajem. Nawet zwalone pnie sami ciągnęli ze zboczy nad rzekę, bo konie i woły bały się lasu, często płoszyły się i trudno było je okiełznać. Bardzo niewiele było w przysiółku kobiet. Drwale woleli zostawiać żony gdzieś w przybrzeżnych wioskach w dole rzeki i odwiedzać je co parę tygodni w czasie spływu niż oglądać każdego ranka niepokój w ich oczach, kiedy wychodzili na wyrąb.

Ale Najdek nie unikał ich, a i oni z czasem zaczęli traktować go niemal jak swego; pozwalali mu siadać przy ogniu i słuchać swoich dziwnych opowieści, w których tak trudno było odróżnić zmyślenie od prawdy.

To właśnie jednego z takich zaczarowanych letnich wieczorów postanowił, że gdy dorośnie, przystanie do drwali. Był przekonany, że tylko oni naprawdę żyją pełną piersią – radośnie, beztrósco i barwnie. Parę razy przymierzył się nawet do wielkiego toporzyska, ale choć nie zdołał go udźwignąć, nie ostudziło to jego zapału. Przypuszczał, że kiedy zmężnieje i nabierze krzepy, będzie równie łatwo wymachiwać tym ciężkim narzędziem, jak teraz miotłą.

Kiedyś zwierzył się z tych zamiarów Wzdrędze, siwowłosemu olbrzymowi o grubych, żyłastych ramio-

nach i brodzie zaplecionej w warkoczyki, którego szanowano powszechnie z racji wieku i doświadczenia. W odróżnieniu od reszty drwali ten był milczącym ponurakiem, lecz mimo to potrafił okazać chłopcu jakiś rodzaj życzliwości, a może nawet przywiązania. Podarował mu nawet swój stary nabijany ćwiekami pas i chętnie gościł go w swej lichej budzie, którą nazywał domem.

Gdy usłyszał, co małemu chodzi po głowie, splunął tylko przez zęby i skrzywił się, jakby usłyszał coś wyjątkowo głupiego.

– Siedź, gdzie ci dobrze – wymruczał niczym zaginiony niedźwiedź.

– W klasztorze wcale nie jest dobrze! – zawołał Najdek, niemile dotknięty tym brakiem zrozumienia.

– Masz lekką robotę, dach nad głową i zawsze pełną michę. Może kiedyś wysłużysz sobie nawet, że Mistrz przyjmie cię do szkoły.

– To nie dla mnie. W bibliotece zaraz kicham, tyle tam kurzu. Chcę chodzić po górach, śpiewać przy ognisku i pływać rzeką do morza, jak wy...

– Nie nawykłeś do takiej pracy, zmarniałbyś w parę tygodni.

– Nieprawda! – Najdek gotów był choćby zaraz rzucić się do ścinania stuletnich dębów. – Jestem silniejszy, niż wyglądam, z czasem nabiorę ciała. Przecież ty też nie urodziłeś się do razu takim mocarzem.

Wzdrgęła wyprostował się i rozejrzał po zakolu rzeki, rozświetlonym blaskiem kilkunastu ognisk. Wyda-

wało się, że szuka kogoś wzrokiem i nie może znaleźć. Otrząsnął się po chwili z zamyślenia, podniósł płaski kamyk i puścił kaczkę na pomarszczoną wodę.

– Znasz Kitę? – zapytał raptem.

Najdek przypomniał sobie postać niewysokiego, zadziornego drwa, który dokuczał mu czasem, że kiedy w klasztorze nauczą go czytać, dostanie wytrzeszczu i przez to nigdy nie znajdzie żony.

– Znam – potwierdził niechętnie.

– A Mischuka?

– Też.

– Zgardę?

– Tak.

– Mielnika?

– Jasne – zniecierpliwił się. – O co właściwie chodzi?

– O to, że nie ma ich tutaj.

Najdek spojrzał w stronę sąsiedniego ogniska. W drzącym światłocieniu nie był w stanie rozróżnić twarzy.

– Rzeczywiście, chyba nie widziałem ich od jakiegoś czasu – wzruszył ramionami. – Co z nimi? Nie wrócili z ostatniego spływu?

– Zostali w górach.

– Jak to w górach? Przecież... – Nagle zrozumiał; urwał w pół słowa.

Wzdrga spokojnie skinął głową, puścił kolejną kaczkę.

– Kitę przygniotło drzewo. Zaplątał się w krzaki i nie zdążył w porę uciec. Mischuk zniknął, pewnie zwodnice poprowadziły go w pułapkę. Zgardę rozszarpała niedźwiedzica. A Mielnik... – zamilkł na

chwilę, rozpamiętując coś ze zmarszczonym czołem.
– Nie dopilnował w nocy ognia i wykończyły go pijawce. Wyssały z niego całą krew.

– Nie wiedziałem. – Chłopak poczuł w gardle wielką gulę, której nie potrafił przełknąć. – To dziwne, że ani razu nie widziałem stosu pogrzebowego...

– Dla takich jak my nikt nie ułoży stosu i nie rzuci w ogień szczypty kadzidła. Naszych prochów nikt nie powierzy rzece – przerwał Wzdreğa sucho. – W górach nie ma miłosierdzia. Kto jest za słaby, żeby żyć, ten na zawsze zostaje w górach. Każdego roku ubywa kilkunastu drwali. Na ich miejsce przychodzą inni, najczęściej młodzi, którym za ciasno w rodzinnych chatach. Tacy zwykle nie przeżywają pierwszego roku. – Powiodł ręką dokoła. – Teraz tańczą i śpiewają, ale nikt z nich nie wie, czy to nie ostatnia taka noc. Opowiadają różne bajki, bo sami chcą wierzyć, że żyją piękniej niż inni. Przy ogniskach nie rozmawia się o znoju i strachu.

Najdek patrzył na góry, które teraz przypominały czarne cienie, rzucone na granatowe niebo. Tylko w klasztornej wieży, wysoko na skale, pełgało słabe światelko.

– Ze mną tak nie będzie! – Zacisnął pięści. – Dam sobie radę. Nauczyłeś mnie już rozróżniać gatunki drzew, budować szałas, nawet migotać zwierciadłem...

– To tylko zabawa.

– Ty sam chodzisz w góry całe życie i nie spotkało cię nic złego.

– Miałem szczęście. Są takie niebezpieczeństwa, przed którymi nie ustrzeże ani przezorność, ani do-

świadczanie, ani odwaga. Takie, o których nie układa się piosenek. – Ostatnia kaczka nie udała się, kamień zatonął z pluskiem. – Nie, chłopcze. Dopóki ja mam tutaj coś do powiedzenia, nie zostaniesz drwalem, choćbyś miał z tego powodu znienawidzić mnie na resztę życia.

Tej nocy Najdek zakołatał w bramę później niż zwykle i odzwierny zbeształ go ostro. Zasypiając, słyszał szum lasu, ale nie z zewnątrz, tylko w sobie. Nie bał się; tęsknił jeszcze bardziej.

Mimo wszystko pewnie w końcu byłby się zniechęcił i pozwolił zblaknąć niedościgłym marzeniom, gdyby nie Kłys.

Drwale nigdy nie chadzali w góry samotnie, najchętniej pracowali w dużej gromadzie, a jeśli wypadło im rozproszyć się w lesie, trzymali się dwójkami. Kłys przy robocie był nieodłącznym towarzyszem Wzdreği. Wspólnie powalali drzewa, razem stawali do zwózki, jadali z jednej miski, a jeśli musieli przenocować w lesie, jeden spał, a drugi czuwał, strzegąc ognia. Choć nie rozmawiali dużo, rozumieli się świetnie – w górach zwykle wystarczała im wymiana spojrzeń, drgnienie brwi, nieznaczny gest dłoni.

Wielu dziwiło się, że właśnie ci dwaj tak łatwo dobrali się ze sobą, bo Kłys niemal we wszystkim różnił się od Wzdreği. Niski, przysadzisty, żwawy, po robocie hałaśliwy i chętny do zabawy, był dużo młodszy od siwego olbrzyma. W przysiółku właściwie nie mieli żadnych wspólnych spraw, rozchodzili się każdy w swoją stronę.

Wesoły drwał zaczepił kiedyś Najdka, kiedy ten wracał znad rzeki do klasztoru. Klepnął go w plecy, stwardniałą dłonią zmierzwił jego włosy.

– No, co tam? – mrugnął okiem. – Ten ponury drab znowu cię straszył?

W pytaniu Kłysa chłopak wyczuł kpinę. Uchylił się spod ręki drwala i spojrzał wyzywająco.

– Niczego się nie boję!

– Czyżby? A mnie się zdaje, że chyba trochę trzęsą ci się łydki...

– Nieprawda! Dobrze wiem, że Wzdreğa opowiada to wszystko, bo nie chce, żebym przystał do was. Na pewno zmyślił połowę.

Kłys spoważniał. Chwycił chłopca za ramię i ścisnął mocno.

– Bardzo się mylisz. Gdyby opowiedział ci wszystko, co widział, pewnie popuściłbyś w gacie. – Przyglądał się Najdkowi uważnie, jakby chciał odgadnąć jego skryte myśli. – Ale nawet on nie zawsze ma rację. Nie rozumie, że cokolwiek zrobi i powie, ty i tak pójdziesz w góry. Wiem to, bo sam kiedyś byłem taki jak ty.

Puścił go, odetchnął głębiej i chwili przekorny uśmiech znów rozjaśnił jego twarz.

– Podobasz mi się, może i będą z ciebie ludzie. Zapamiętaj tylko, że tacy, którzy nie boją się niczego, w górach zwykle giną pierwsi. A tchórze zaraz po nich. Trzeba szybko się uczyć i słuchać dobrych rad. – Rozgarnął koszulę pod szyją i wyciągnął jakiś wisiorek na rzemieniu. – Wiesz, co to jest?

Przed oczyma Najdka zakołysała się para ostrych, chyba wilczych kłów. Nie zdziwił się, widywał podobne ozdoby u wielu drwali – zęby niedźwiedzi, szpony orła, czaszkę żmii – chociaż nie wszyscy je nosili.

– To musiało być naprawdę duże zwierzę – przyznał z szacunkiem. – Sam go zabiłeś?

– Pewnie.

Najdek wyciągnął rękę, aby dotknąć wisiorka, jednak zaraz cofnął dłoń.

– Mistrz gniewa się o takie przesady... Mówi, że tylko opieka aniołów nigdy nie zawodzi.

– I dobrze mówi, od tego jest przecież Mistrzem. Bardzo możliwe, że anioły nigdy nie spuszczają z oczu klasztornej dziedzińca, gdzie co dzień pachną im kadzidła, ale przez to rzadziej zerkają na góry. Mistrz nie może o tym wiedzieć, bo sam prawie nie wystawia nosa ze swojej wieży. Komu to szkodzi, że duch wilka chroni mnie w lesie? Ostrzega przed niebezpieczeństwami, wzmacnia siły, daje wytrwałość. Nawet w bezksiężycowe noce śpię spokojnie, kiedy ona wyłazi ze swojej nory.

– Kto taki?

Kłys wpuścił wilcze kły za koszulę z taką miną, jakby żałował, że je w ogóle pokazał.

– Nie musisz wszystkiego od razu wiedzieć.

Odszedł, pogwizdując beztrwosko, a Najdek pozostał sam na ścieżce, z mocno bijącym sercem i płonącymi policzkami. Nie oburzał się na Kłysa, choć może powinien. Żałował, że nie wypytał go dokładnie, jak poluje się na wilka.



Wioska obywatła się bez studni. Kobiety nosiły wodę z rzeki; stękając pod ciężarem nosidła, wspinały się po stromym skłonie nadrzecznej skarpy, w słotę, w mróz i w upał, obszczekiwane przez na wpół zdziczałe psy i zaczepiane przez drwali. Przez długie lata nikomu nie przychodziło do głowy, że mogłoby być inaczej, lecz w miarę jak rosła sława klasztoru i przybywało coraz więcej pielgrzymów, doroczne jarmarki przyciągały tłumy, powiększał się przychówek w oborach, a sama wieś i przysiółek drwali rozrosły się znacznie – te ciągle wędrowki z cebrami stały się zbyt uciążliwie. Największy kłopot miał karczmarz Dybiec – grubas o czerwonym, pofałdowanym karku i owłosionych dłoniach, które wycierał w zatłuszczony fartuch. Przez jakiś czas opłacał paru nosiwodów, ale że żał mu było na takich oberwańców każdego miedziaka, skrzyknął w końcu najznaczniejszych we wsi gospodarzy i przekonał ich, że czas sprowadzić studniarza.

Co prawda nie przyszło to łatwo. Wieśniacy na ogół nie lubili zmian, spodziewali się po nich więcej złego niż dobrego. Żyli w cieniu gór, gdzie wszystko zależało od kruchej równowagi pomiędzy mrokiem Otchłani i światłością Niebios. Woleli poprzestawać na małym niż sięgać po zbyt wiele, poczucie umiaru mieli we krwi. Mistrz poparł wprawdzie całe przedsięwzięcie, ale jednocześnie nazwał ich obawy przed dziurawieniem ziemi zabobonem i ciemnotą, co przyjęli urażonym milczeniem. Nie przekonało ich także to, że

Dybiec obiecał wziąć na siebie większą część kosztów – to przecież właśnie on miał na studni najwięcej skorzystać. Sprawę przesądził dopiero upór kobiet, które – choć nikt nie pytał ich o zdanie – zgodnie odmówiły dalszego biegania po wodę do rzeki. Gospodarze roztrząsali jeszcze dla pozorów pomysły karczmarza aż do późnej nocy, popijając darmowe piwo, drapiąc się po głowach i skubiąc wąsiska, ale rzecz była już właściwie postanowiona.

Karczmarz zaprzągnął wóz i paru dniach przywiózł studniarza. Nie wypadało przyglądać się komuś takiemu zbyt otwarcie, więc ludzie popatrywali zza płotów i uchylonych drzwi. Był niewysoki, chudy, kędzierzawy i tak ponury, jakby miał za złe Słońcu, że świeci. Nikt go, rzecz prosta, nie powitał ani nie zaprosił pod swój dach. Człowiek tego fachu nie miał prawa mieszkać między ludźmi, podobnie jak grabarz i kat.

Zeskoczył z wozu, obrzucił wioskowy majdan pogardliwym spojrzeniem. Rumiana z przejęcia karczmarzowa wyniosła mu miskę przed próg, aby nie przyszło mu do głowy wieczerzać w izbie. Musiał być przyzwyczajony do takiego traktowania, bo bez słowa przysiadł na dyszlu. Zjadł bez pośpiechu, popił piwem, kości cisnął psom, potem podniósł swój nędzny tobołek, zarzucił na ramię szpadel i odszedł za wieś, na kamieniste nieużytki. Ściął nożem kilka prętów leszczyny, sklecił byle jaki szałas, przyrzucił ściany rozłożystymi gałęziami jedliny, wczółgał się do środka – i tego dnia nie pokazał się więcej.

Nikt nie przeszkadzał mu w odpoczynku, nawet psy niuchały z daleka, wyciągając szyje, jakby wyczuwały w tym łachmaniarzu jakieś zagrożenie, z którym nie spotkały się nigdy wcześniej.

Rankiem, równo z pierwszymi uderzeniami dzwo-
nu, już był przy robocie. Obszedł zakurzony majdan
raz i drugi, skręcił na środek, przykucnął i wydobył z za-
pachy wielką guzowatą ropuchę. Poglądził ją piesz-
czotliwie po szerokim grzbiecie, szepnął coś, a potem
ostrożnie popychając palcem, spędził z dłoni na ziemię.
Gdy odkicała parę susów, poszedł za nią; znów uciekła
kawałek dalej. Przechadzali się tak przez dłuższy czas
po pustym placu – nikt nie wychylił się zza płotu, ża-
den głos nie przerwał ciszy – aż wreszcie ropucha za-
trzymała się w zarośniętym pokrzywami narożniku,
rozdęła pęcherze i nie ruszyła już dalej, choć studniarz
dla pewności uderzył piętą w twardą, ubitą ziemię.

– Tutaj.

Powiedział to niegłośnie, jakby tylko do siebie, ale
Dybiec natychmiast wybiegł z za węgła karczmy.

– Jesteś pewien? – Zmarkotniały pokręcił głową. –
Myślałem, że to wypadnie jakoś bardziej na środku.

– Może być na środku, ty płacisz. Ale tam nie do-
kopiemy się do wody.

– Dobra, tylko pytałem. – Karczmarz rozłożył ręce.
– Skoro twierdzisz, że ta gadzina zna się na tym...

– Zna się, tak jak ty znasz się na rozcieńczaniu wina.

– Wystarczy! – przerwał mu Dybiec szybko. – Rób
swoje. Czego ci potrzeba?

– Niczego. – Studniarz zdjął szpadel z ramienia, skierował ostrą krawędzią w dół i niespodziewanie opuścił wprost na ropuchę. Krew obryzgała mu stopy i postrzępione nogawki. Po raz pierwszy uśmiechnął się do pobladłego karczmarza. – To na szczęście.



Ludzie omijali z daleka ten zakątek majdanu, starali się nie spoglądać nawet na rosnący dzień po dniu kopiec wybranej z wykopu ziemi. Im dłużej to trwało, im głębiej sięgała studnia, tym ciszej przemykali wzdłuż płotów, a nocami w ogóle nie wychodzili z chat. Niektórzy żalowali poniewczasie, że zgodzili się na ten szalony wybryk, i już po tygodniu zaczęli namawiać innych, żeby zakopać dziurę, póki nie wydarzyło się nieszczęście. Karczmarz uspokajał, jak mógł; opowiadał, że odległych wsiach widywał studnie głębokie nawet na czterdzieści łokci, ale widać było po nim, że sam stracił wiele na pewności siebie. Wiedział dobrze, że co powiodło się gdzieś tam na świecie, wcale nie musi skończyć się dobrze tutaj, w podgórskiej dolinie, nad którą ledwie od trzech pokoleń unosiły się dymy kadzideł.

Najdek, choć udzieliły mu się obawy wieśniaków, kiedy tylko mógł podpatrywał studniarza przy pracy, przykucnąwszy za dziurawym płotem. Za każdym razem, gdy tamten spuszczał się po linie w głąb wykopu, chłopak zastanawiał się, czy go jeszcze zobaczy. Podziwiał jego od-

wagę. Tam, na dole, musiało być ciasno, ciemno i cicho, zupełnie jak w grobie. Niecierpliwił się, gdy kędzierzawa głowa zbyt długo nie ukazywała się z powrotem ponad oszalowaniem z desek, nasłuchiwał, wychylony zza płotu, parę razy chciał już nawet biec do karczmy po pomoc – jednak zawsze w końcu skrzypiała lina i półnagi studniarz wyłaniał się spod ziemi, spocony i brudny, dźwigając na plecach wypełniony kamienistą ziemią kosz. Odpoczywał przez chwilę, pociągał piwa prosto z dzbana, przegryzał plackiem i wracał do strasznej czeluści, zabierając ze sobą kilka desek dla umocnienia ścian wykopu. Jeśli bał się choć trochę, jeśli miewał wątpliwości – wody wciąż nie było, ropucha mogła przecież pomylić się tym razem – nie okazywał ich. Harował z zaciętym, ponurym uporem, z każdym dniem wgryzał się coraz głębiej w ziemię, a jego złe spojrzenie wydawało się mrocznieć jeszcze bardziej.

Któregoś razu przepadł na tak długo, że Najdek całkiem stracił głowę. Był pewien, że stało cię coś bardzo złego. Chciał uciekać do klasztoru, ukryć się w szopie pod sianem, ale nie mógł tak zostawić studniarza. Może jeszcze nie było za późno, żeby go uratować. Przelazł przez płot na miękkich z przerażenia nogach, podbiegł do wykopu. Zawahał się, nim zajrzał w głąb, ale jednocześnie czuł, że jeśli tego nie zrobi, będzie się bał coraz bardziej i bardziej.

Pochylił się nad wykopem. Zanim zdołał dostrzec cokolwiek, coś chwyciło go mocno za nogawkę. Zachwiał się, wydał zduszony okrzyk – i w tej samej chwili usłyszał nieprzyjemny, syczący śmiech.

– Popuściłeś w gacie, co? Przyznaj się! – Studniarz podciągnął się i usiadł na desce, z nogami opuszczonymi do wykopu. Chłopcu zakręciło się w głowie, przysiadł na piętach.

– Myślałeś, że to demon złapał cię za nogę i ciągnie w Otchłań, prawda? – Tamten znowu zakaszał chichotem, ale w jego ciemnych oczach nie zaiskrzyła się ani odrobina wesołości. – Wszyscy tu smrodzicie ze strachu, że w końcu przekopię się na drugą stronę.

Chłopak milczał, czekając, aż serce przestanie dudnić i rozwieje się szara mgła przed oczami.

– A ty czemu mnie podglądasz? Myślisz, że nie słyszę, jak sapiesz tam za płotem? – Studniarz strzyknął śliną w mroczną dziurę, przyjrzał się Najdkowi jakby z nowym zaciekawieniem. – Nie spodziewałem się, że podejdiesz.

– Chciałem zobaczyć, czy nic ci się nie stało...

– Wiesz, co zrobiliby wieśniacy, gdybym na przykład skreślił nogę i nie mógł wyjść? Zasypaliby mnie żywcem i jeszcze udeptali plac. – Zgarnął dłonią z deski grudki ziemi, które po chwili zaszeleściły na dnie wykopu. – Idź lepiej do domu, bo ojciec obije cię za to, że ze mną rozmawiasz.

– Nie mam ojca. Służę w klasztorze.

– Taak? – przeciągnął, mrużąc oczy. – Więc co tutaj robisz? Znudziły ci się Niebiosa i chciałeś dla odmiany zajrzeć w Otchłań?

– Słyszałem, jak Mistrz mówił uczniom, że nikt nie może przebić się do Otchłani...

– Chyba nie bardzo w to wierzysz, skoroś taki blady.
Najdek zmieszał się; właściwie sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czuł się winny, że rozmawia z tym dziwnym człowiekiem – on jeden z całej doliny, nie licząc karczmarza – ale jednocześnie uszy aż piekły go z ciekawości.

– A ty... przebiłeś się kiedyś?

Studniarz pokiwał głową w posępnym zamyśleniu, a potem nieoczekiwanie uśmiechnął się prawie przyjaźnie.

– Nigdy. Twój Mistrz ma rację. Zresztą mnisi zwykle nie kłamią, często za to nie mówią całej prawdy.
– Wskazał kciukiem kopiec. – Nawet gdybym usypał tutaj drugiego Rogacza, dziura jeszcze nie byłaby dość głęboka, żeby sięgnąć Otchłani.

Najdka powinna zadowolić taka odpowiedź, a jednak odczuł jakby cień zawodu.

– Ludzie różnie o tym mówią... – bąknął nieśmiało.

– Ludzie są głupi, a tacy jak ja żyją z ich głupoty. Dla mnie dobrze, kiedy się boją, inaczej wykopaliby sobie tę studnię sami.

– A ropucha?

– Takie tam małe przedstawienie... Wieśniacy lubią wiedzieć, że zatrudnili fachowca. Gardzą mną, brzydzą się, ale i tak zapłacą, ile zażądam. Tak naprawdę nie mam pojęcia, czy właśnie w tym miejscu znajdę wodę. Jeśli nie, powiem, że ktoś nieżyczliwy rzucił na studnię zły urok i zacznę kopać w innym miejscu.

– Oszukujesz ich!

– Sami się oszukują. Ja tylko robię to, czego się po mnie spodziewają.

Najdek wstydził się teraz każdej godziny spędzonej za płotem na wyczekiwaniu wielkiej, przemilczanej przez wszystkich tajemnicy.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał zniechęcony.

– Bo jesteś inny od nich. Obchodzi cię los studniarza.

Chłopiec wstał, otrzepał spodnie. Nie zajrzał do wykopu.

– Pójdę już – mruknął.

– Zaczekaj! Szkoda cię do klasztoru, tam szybko zrobi się dla ciebie za ciasno. Kiedy skończę tę robotę, zabiorę cię ze sobą i nauczę fachu. Chcesz?

Najdek potrząsnął smutno głową.

– Teraz już nie.



Z początku nie chciał mówić Cabajowi o tym, co zaszło – bał się, że odźwierny nakrzyczy na niego, albo, co gorsza, wyśmiej. Do zachodu słońca snuł się bez celu po klasztornym dziedzińcu, jednak po wieczornej ceremonii, gdy usiedli jak zwykle obok siebie przy zamkniętej bramie, nie wytrzymał i wygadał wszystko, byle tylko podzielić się z kimś tym swoim wielkim, niezrozumiałym rozczarowaniem.

Wbrew obawom Cabaj wysłuchał opowieści spokojnie, a kiedy chłopak skończył, ziewnął nawet, jakby lekko znudzony.

– Więc o co właściwie chodzi? Żal ci, że ten szubrawiec nie dokopał się do Otchłani?

– Nie! Ale... Dziwnie jakoś. Skoro studnie bez dna nie istnieją, chociaż tylu ludzi w nie wierzy, to skąd można wiedzieć, co jest prawdą, a co nie? Może anioły też nie istnieją. Może Niebiosa są puste!

– Słuszna uwaga. – Cabaj rozgryzł pestkę słonecznika. – Na szczęście nikt o zdrowych zmysłach nie twierdzi, że studnie bez dna nie istnieją.

– Jak to? – Najdek wyprostował się.

– Człowiek nie przekopie się na tamtą stronę, ale demony czasem drążą przejścia z Otchłani aż do naszego świata. Szczególnie te, które niedawno upadły i bardzo tęsknią do światła.

– Jesteś pewien? Gdzie można znaleźć taką studnię?

– Na pewno nie na wioskowym placu. I lepiej w ogóle jej nie szukać.

– Dlaczego? Czy to niebezpieczne?

Odźwierny bez ostrzeżenia wymierzył Najdkowi karcące kłaśnięcie w kark.

– Niebezpieczny to będzie Dzwonnik, kiedy dowie się, jakie sprawy cię zajmują.



W okresach świątecznych pustawa na ogół gospoda wypełniała się gwarным tłumem przybyszów, choć trudno byłoby wypatrzeć tutaj szary pielgrzymi kaptur. Pobożni ludzie, których przywiodła w tę dolinę

sława mnichów pieśniarzy, woleli sypiać w gościnnych szopach za klasztornym murem. Ławy za długimi stolami karczmy obsiadali ci, którym częściej szumiało w głowach od wina niż od kadzidła: kuglarze, wróżbici, sprzedawcy fałszywych relikwii, żebracy o zdumiewająco pełnych trzosach, wesołe pannice w pstrokatych kieckach i wszelkiego rodzaju włóczędzy, którzy nie potrafili przespać dwóch nocy w tym samym miejscu. Czasem wpadał tu dla postrachu wysłany przez Mistrza Gurgul z paroma strażnikami, jednak zwykle kończyło się na tym, że upijał się z tą hałastrą zamiast rozpędzić ją na cztery wiatry. Zresztą kiedy przemijały świąteczne dni, gorszyście sami wynosili się ze wsi, aby szukać zarobku gdzie indziej.

Najdek korzystał z każdej sposobności, żeby przyrzec im się z bliska, słuchać, o czym mówią, odgadywać z gestów i spojrzeń tę inność, która wywierała na nim tak wielkie wrażenie. Nawet brud za ich paznokciami pochodził przecież z kurzu dalekich, tajemniczych dróg. Lubił myśleć, że on sam także różni się w jakiś sposób od wieśniaków, dla których już wyprawa do sąsiedniej doliny była wielkim wydarzeniem. On także przywędrował przecież niegdyś stamtąd, zza pofałdowanego łagodnymi wzgórzami widnokręgu.

Dybiec zadziwiałąco żwawo uwijał się wśród gości, roznosząc pękate gąsiorzy i kubki. Najdek starał się nie wchodzić mu w drogę, bo karczmarz miał zwyczaj wypędzać kopniakami za próg każdego, na kim nie mógł zarobić, ale czasem chłopcu udawało się wcisnąć

niepostrzeżenie w kąt izby za piecem, żeby stamtąd przypatrywać się ludziom, którzy żartowali, kłócili się i najwymyślniej przeklinali. Otwarcie chwalono się tutaj sprytnym oszustwem albo zuchwałą kradzieżą, bezwstydnie wspomniano uwiedzione panny i mężatki, pokazywano blizny po nożach i czerwone piętna na ramionach, które kat wypalił niegdyś gorącym żelazem. Występek obnoszono jak cnotę, drwiono z wszelkich świętości, czasem nawet poprzez czarny od dymu strop wygrażano pięściami Niebiosom.

Najdek wiedział, że nie powinien tego słuchać – gdyby Dzwonnik dowiedział się o tym, ukarałby go trzydniowym postem o chlebie i wodzie – a jednak chciwie chłonał każde słowo, bo spoza tych wszystkich bezceństw i bluźnierstw od czasu do czasu przezierał kawałek prawdziwego szerokiego świata, jakiego nie mógłby dostrzec nawet ze szczytu klasztornej wieży.

Czasem widywał w gospodzie małą posługaczkę, chudą piegowatą dziewczynkę, młodszą chyba od niego o rok czy dwa. Wiedział, że jest sierotą jak on sam, ale nie próbował dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Spotykał ją tylko zimą, od wiosny do jesieni miała pewnie jakieś inne zajęcia. Współczuł jej, bo Dybiec tłukł ją bez opamiętania za każde uchybienie w robocie, prawdziwe czy urojone, nie zważając nawet na gości. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek krzyczała albo płakała, po każdym biciu zaciskała tylko mocno wargi i bez słowa wracała do szorowania podłogi popiołem albo noszenia kubłów z wodą.

Nigdy nie zamienił z nią ani słowa. Parę razy tylko pochwycił jej krótkie, jakby przypadkowe spojrzenie, ale to było za mało, żeby się do niej choćby uśmiechnąć. W gruncie rzeczy mało obchodził go jej los; skoro nie skarżyła się, widocznie nie było jej aż tak źle.



W najkrótszą ze wszystkich nocy, poprzedzającą święto Jutrzni, pod klasztorną skałą rozpalano setki ognisk, wytaczano beczki z piwem, a miejscowi mieszały się z przyjezdnymi w rozpasanej zabawie. Starsi górale jedli, pili i tańczyli, nawet poważni gospodarze dokazywali niczym wyrostki. Drwale skakali przez płomienie, młodzieńcy obściskiwali dziewczyny w skalnych rozpadlinach. Od mrocznych zboczy Rogacza odbijały się rubaszne przyśpiewki, podniecone psy biegały luzem, walcząc między sobą o dymiące kęsy mięsiwa, a północy, kiedy sporo beczek leżało już pustych, bójki i tumulty wybuchały także między ludźmi.

Tylko w klasztorze panowała cisza. Mistrz z mnichami i uczniami czuwali w dolnej izbie wieży, w poście i milczeniu szukając skupienia, aby czystymi sercami powitać Jutrznię. Zgodnie z dawnym obyczajem brama pozostawała otwarta aż do świtu jako oznaka gotowości na przyjęcie światła Łaski, ale odzwierny i tak pozostawał na swoim miejscu, na wypadek gdyby któryś z pijanych swawolników zabłąkał się aż

tutaj, na szczyt skały. Towarzyszył mu zwykle Najdek; wolał to od bezsennego przewracania się z boku na bok i nasłuchiwania odgłosów świętowania – jako najmłodszy z posługaczy nie miał zgody Dzwonnika na spędzenie nocy poza murami. Kiedy był młodszy, nie przeszkadzało mu to – wierzył słowom Mistrza, który mawiał, że gdyby górale chcieli uczcić demony z Otchłani, robiliby to zupełnie tak samo – ale z czasem i jemu zachciało się skosztować tych zakazanych przyjemności, o których inni posługacze opowiadali sobie z chichotem na ucho.

Dziesiąta Jutrznia, licząc od dnia, kiedy przyprowadzono go do klasztoru, okazała się inna od wszystkich poprzednich. Gdy po zmroku dziedziniec opustoszał, Najdek próbował porozmawiać o swoich troskach z odźwiernym, ale ten zbył go krótko:

– Jeszcze masz czas.

– Wszyscy świętują, tylko mnie nie wolno! – po-skarżył się gorzko.

– A co? Wolałbyś wyłopać bukłaczek wina i złapać po ciemku za cycki jakąś góralkę?

– Nie o to chodzi! – Mimo woli zaczerwienił się. – Chciałbym czekać na świt razem z innymi.

– Wielu z nich nie zobaczy Jutrzni, zwałą się wcześniej gdzieś do śmierdzącego szczynami rowu.

– Mówisz tak, bo sam nie mógłbyś już skakać przez ognisko jak oni! Zazdrościsz im.

– Straciłem nogę w potyczce z morskimi zbójami. Takie kalectwo to powód do dumy. – Cabaj ubił ko-

mara na szyi. – A ty uważaj. Może i nie podskoczę wysoko na moim kulasie, ale zawsze mogę kopnąć cię w... – urwał w pół słowa, odwrócił się w stronę rozwartej szeroko bramy.

U stóp schodów wybuchł nagły tumult.

– Co się stało? – Zaciekawiony chłopak na chwilę zapomniał o własnych żalach.

– Wcześniej się w tym roku schlali. – Odźwierny omiół spojrzeniem szczyty murów. – Został tam jakiś strażnik?

– Chyba nie, wszyscy pilnują porządku na dole...

– Już ja wiem, jak pilnują. – Cabaj splunął, podniósł się ciężko. – Trudno, będziemy musieli użerać się sami.

Gwar podnieconych głosów zbliżał się wyraźnie, ale nie było już słychać wśród nich śmiechów i śpiewów, tylko okrzyki gniewu, a może i groźby. Niebawem z drugiej strony przesmyku ukazały się światła pochodni, na skałach ogromniały zniekształcone cienie ludzi, którzy tłoczyli się i przepychali, cudem tylko nie strącając się nawzajem w przepaść. W chwiejnym świetle Najdek nie mógł rozpoznać żadnej twarzy – to chyba byli jacyś obcy górale, mieszkańcy którejs z sąsiednich dolin.

Odźwierny zastąpił im drogę w otwartej bramie, wspierając się pod boki dla dodania sobie powagi.

– Stójcie! – zawołał. – Co za demon was przygnał? Tu nie miejsce na pijatykę.

Zatrzymali się; tylko idący na przedzie góral – niemłody już, przygięty w krzyżu wieloletnią ciężką pracą, ale

krzepko trzymający się na nogach, jakby tej nocy nie rozpoczął jeszcze świętowania – postąpił parę kroków naprzód.

– Każdy ma prawo oglądać Jutrznię z dziedzińca klasztoru. – Uniósł wyżej pochodnię, chcąc się przekonać, z kim ma do czynienia.

– Do świtu jeszcze daleko.

– Nie szkodzi. Poczekamy.

– Co wam tak pilno? Na dole jest weselej.

– Nie przyszliśmy tu dla zabawy. – Zbliżył się jeszcze, szurając podeszwami w nagle zapadłej ciszy. – Mamy czarownicę.

Skinął dłonią. Z gromady za jego plecami wysunęło się dwóch ludzi, którzy prowadzili między sobą pod rękę ślaniającą się kobietę o podrapanej twarzy, rozbitej wardze i półprzytomnym, zagubionym spojrzeniu. Była brudna, rozczochrana, w podartych łachach, powłóczyła prawą nogą, zakutą w żelazną obręcz z łańcuchem.

Cabaj ledwie rzucił na nią okiem, sarknął drwiąco.

– Nie żartuj ze mnie, człowieku, nie urodziłem się wczoraj. Taka z niej czarownica, jak ze mnie mnich.

– Złapaliśmy ją miesiąc temu, w lesie.

– Każdemu wolno chodzić do lasu.

– To było już po zachodzie słońca. Nie chce powiedzieć, co tam robiła. Nikt od nas jej nie zna.

Odźwierny wyszedł przez bramę, mijając górala, wyjął z jego ręki pochodnię i oświetlił z bliska twarz kobiety. Patrzyła przestraszona w ogień, bełkocąc coś niezrozumiale pod nosem.

– Sam już nie wiem, kto jest bardziej pomyłony, ona czy wy! – zawołał rozzłoszczony. – Przecież od razu widać, że to jakaś biedna przybłęda, na dodatek chyba niemowa. Trzymaliście ją pewnie przez ten miesiąc w ciemnicy, to i do reszty pomieszało się jej w głowie. Może teraz sama wierzy, że jest czarownicą.

Gromada górali zakołysała się, zaszemrała, twarze sposepniały jeszcze bardziej. Ten, który im przewodził, zaświecił w półmroku łzawymi oczyma.

– Nie ty będziesz o tym rozstrzygał – wycodził ponuro. – Przepuść nas, żądamy dla niej próby Słońca. Nawet sam Mistrz nie może nam tego odmówić.

– Róbcie, co chcecie, skoroście się z owcami na rozumy pozamieniali. – Cisnął pochodnię w przepaść, okręcił się na drewnianej nodze i odszedł w głąb dziedzińca, przysiadając na stosie drew obok szopy.

– Co to wszystko znaczy? – Przejęty Najdek pobiegł za nim. – Czego oni chcą?

– Widowiska. – Cabaj patrzył ponuro spod oka na wchodzących przez bramę górali, teraz jakby oniesmielonych pustką dziedzińca, na którym rozlegał się tylko szurgot kroków. – Chcą zobaczyć, jak o świcie demony porwą czarownicę do Otchłani.

– Przecież mówiłeś, że ona nie jest...

– Oczywiście, że nie jest – przerwał chłopcu podrażniony kuternoga. – Czarownicy nie można złapać ot tak sobie, jak królika. Zresztą zostało ich już bardzo niewiele i pewno nie włączą się w pobliżu wiosek. Dawniej co roku na Jutrznię demony zabierały ich

z klasztornego dziedzińca nawet po kilka naraz, ale te czasy minęły. Teraz przyprowadzają tylko takie jak ta. – Podbródkiem wskazał nieszczęśnicę, którą przytroczono na łańcuchu do kamiennego pręgierza pośrodku dziedzińca i pozostawiono samą sobie. – Niektóre z nich całymi miesiącami trzymają w lochu, żeby przed Jutrznią nie zobaczyły Słońca.

– Dlaczego?

– Bo żadna prawdziwa czarownica nie zniesie słonecznego światła. Taka wyłazi ze swojej kryjówki tylko nocą. Jeśli nie zdąży wrócić przed świtem, wzywa pomocy z Otchłani.

– Więc czemu nie zrobili tej próby od razu, tam, gdzie ją złapali?

– Bali się. Wierzą, że tylko w dzień Jutrzn, na okadzonej ziemi klasztoru, demony nic im nie zrobią.

Kobieta leżała skulona na bruku, drżąc i pojękując cicho. Górale rozsiedli się wokół niej szerokim kołem, wprost na ziemi.

– To straszne, że się tak nad nią znęcają! Mistrz powinien tego zabronić.

– Wtedy pewnie zatłukliby ją po prostu kamieniami. A tak wypuszczą ją wreszcie, sponiewieraną, ale żywą. Coś takiego zdarzyło się tutaj parę razy, jeszcze zanim pielgrzymi przyprowadzili cię do klasztoru.

Wszystko odbyło się spokojniej, niż można było przypuszczać. Gdy Mistrz z mnichami i uczniami wyszli z wieży na poranną ceremonię, szczególnie uroczystą tego świątecznego dnia, kobieta zaczęła wprawdzie

szarpać się na łańcuchu, wyć i wyrwać sobie włosy, a o pierwszym brzasku zeszywniała dziwnie, wygięta do tyłu w kabłąk, z pianą na wargach – ale demon nie przyszedł, upajający zapach kadzidła i pieśń mnichów także zrobiły swoje. Z wolna rozluźniła się, zwinęła na ziemi, obejmując kolana ramionami, i rozplakała się cicho. Wtedy górale rozkuli ją i rozeszli się w milczeniu, przeświadczeni o dobrze spełnionym obowiązku, ale i lekko rozczarowani.

Najdek odczuł zarazem ulgę i niesmak. Uroczystość odbyła się jak należy, ale świąteczny nastrój prysł bezpowrotnie. Idąc do szopy, potknął się o porzucony łańcuch, który walał się na opustoszałym dziedzińcu. Właśnie w tej chwili uświadomił sobie wyraźnie, że znowu jest o rok starszy. Dziesiąty rok spędzony w klaszorze; niby taki sam jak wszystkie poprzednie, a jednak jakiś inny.

Tego dnia zrozumiał, że jego dzieciństwo właśnie przeminęło.



Nigdy nie opuścił żadnej ofiary, porannej ani wieczornej, i to wcale nie ze strachu przed różgą Dzwonnika. Bywało, że nocą budził się i potniał z niecierpliwości, żeby zanurzyć się znowu w dymy kadzideł. Ta najcudowniejsza z ziemskich woni stała się jego codzienną potrzebą, pilniejszą niż jedzenie i sen. Dziwił się nawet, że górale zaglądają do klasztoru tak rzadko, niektórzy tylko

w największe święta – Jutrzni, zimowego Przesilenia i obu Równonocy – a drwale prawie nigdy. Przypuszczał, że celowo nie chcą rozbudzać w sobie zbyt wielkiej tęsknoty do Niebios, aby nie ucierpiały na tym ich codzienne zajęcia. On sam nie obawiał się tego. Marzenia nie przeszkadzały mu w niczym, bez nich nie wiedziałby chyba, po co żyje.

Oczywiście – nigdy już nie było tak samo jak wtedy, przy pierwszej ceremonii ofiarnej, choć starał się całą piersią wdychać kadzidlany dym i poddawać falowaniu pieśni. Wiele razy wznosił się duchem gdzieś bardzo wysoko, odczuwał przedsmak anielskich bezkresów, ale wiedział już, że wyżej nie wzleci, choćby pozwolono mu stać przy samej kadzielnicy. Aby wdrzeć się choćby do Pierwszego Nieba, potrzeba było czegoś więcej niż tylko chwilowego uwolnienia zmysłów dzięki spaleni paru szczypt cudownego proszku. Wyobrażał sobie, że musi istnieć jakiś inny, pewniejszy sposób, ale kiedy spytał o to odźwiernego, ten skrzywił się w niedobrym uśmiechu.

– Jest tylko jedna droga, którą można uciec z tego świata. Każdy prędzej czy później w nią wyruszy, choćby wcale nie miał na to ochoty.

– Naprawdę? – zapalił się Najdek. – Czy to długa podróż?

– Nie bardzo. Tyle, co do stosu pogrzebowego nad rzeką. Nawet się nie zmęczysz, bo cię tam poniosą.

– Zawsze tylko ze mnie drwisz!

– Wcale nie. Chcę tylko cię ostrzec, że kto zbyt długo patrzy w górę, temu może zakręcić się w głowie, a wtedy łatwo o upadek. Lepiej stać mocno na ziemi.

Najdek spochmurniał na jakiś czas, ale nie potrafił długo gniewać się na Cabaja. Zresztą już myślał o czymś innym.

– Byłeś wodniakiem, pływałeś po bursztyn do Wysp Zewnętrznych. – Zręcznie nadał rozmowie nowy kierunek. – Czy to bardzo daleko?

– Tak daleko, że dalej już być nie może.

– Musiałeś mieć porządną krypę...

– Pierwsza większa fala przewróciłaby krypę do góry dnem. Żeby pływać po otwartym morzu, trzeba mieć prawdziwą łódź, taką z mostkiem, nadbudówką na rufie i ładownią.

– A foki dają radę?

– Głupi jesteś. W taką podróż zaprzęga się płetwa-
la. Tylko silny, zadbany płetwał dopłynie do Wysp. Ale
trzeba bardzo uważać, żeby Martwy Pływ nie poniósł
łodzi dalej, poza Wyspy. Stamtąd się nie wraca.

– Dlaczego?

– Bo tam jest Krawędź Świata. Miejsce, gdzie niebo-
skłon styka się z ziemią. Tam kończy się ocean, a woda
płynie do góry.

– To przecież niemożliwe!

– Zapytaj o to Dzwonnika, jak się nie boisz. Wiel-
kie rzeki pną się po wierzchniej stronie sklepienia nie-
ba, a kiedy otwierają się upusty, spadają nam deszczem
na głowy.

Najdek znał na pamięć tę żeglarską legendę, ale
i tak słuchał chciwie, z otwartymi ustami.

– I człowiek też płynie do góry?

– Nie, mały. Człowiek nie. O człowieka musi powalczyć z demonami jego anioł stróż. Im bardziej ma biedak zapaskudzone sumienie, tym aniołowi trudniej go wyszarpać z Otchłani, bo tam każdy grzech ma wagę ołowiu. A marynarze to nie mnisi, wiadomo, więc w Pierwszym Niebie raczej tłoku nie ma.

– W Pierwszym? Myślałem, że po śmierci dusza trafia do Siódmego Nieba.

– I dobrześ myślał. Pierwsze Niebo jest dla tych, którzy nie umarli, ale i żyć dalej nie mogą na świecie, między ludźmi, bo musnęła ich Otchłań. Tam dusza nie oddziela się od ciała. Człowiek już na zawsze pozostanie taki, jaki był, kiedy tam dotarł.

– Nie zestarzeje się?

– Nie. Ale i nie odmłodnieje.

– A jak tam jest, w tym Pierwszym Niebie?

– Podobno pięknie. Piękniej niż gdziekolwiek.

– Więc po co właściwie starać się o Siódme Niebo? Mnie wystarczyłoby to najniższe. Wcale nie chcę umierać.

– Boś głupi. Człowiek w Pierwszym Niebie ma wszystko, o czym tylko mógłby zamarzyć, ale nigdy nie będzie szczęśliwy.

– Dlaczego?

– Bo widzi odbłask czystej Światłości, która przenika przez wszystkie Niebiosy, ale nie może wznieść się do niej. Dusza wyrywa się, schmie z tęsknoty, chciałaby spłonąć w tym ogniu, oślepnąć w tej jasności, ale musi tkwić w ciele jak motyl, który nie potrafi wydostać się z poczwarki.

– Skoro nikt stamtąd nie wrócił, skąd to wszystko wiadomo?

– Wydaje ci się, że taki wielki z ciebie spryciarz, co? – Cabaj spojrzał koso spod namarszczonej brwi. – Są takie sprawy, o których może opowiedzieć tylko anioł. Albo demon.

– Rozmawiałeś z aniołem? – zawołał chłopak.

– Ciszej! Dzwonnik znowu powie, że mącę ci w głowie. – Pochylił się nieco ku niemu, dokończył szeptem: – Oczywiście, że nie rozmawiałem z aniołem. Nie jestem wystarczająco świątobliwy. Ale byli tacy, którym się to udało, i to właśnie od nich pochodzą wszystkie najciekawsze opowieści.

– A demony? Kto rozmawia z demonami?

– Wystarczy! – syknął odźwierny, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę wieży. – Jesteś jeszcze za mały na takie rzeczy.

Najdek nie naciskał. Wcześniej zdarzało się już, że Cabaj nieopatrznie poruszał ten temat, jednak nigdy nie posunął się choćby o krok dalej – istniało za to niebezpieczeństwo, że nabzdyczy się i nie powie już tego dnia nic ciekawego.

– Nie musimy o tym mówić, jeśli nie chcesz – zgodził się chłopak gładko i natychmiast pchnął sprawy dalej: – Opowiedz lepiej o tym, co sam widziałeś. Jak tam jest, na tych Wyspach? Czy pięknie?

– Obyś nigdy nie musiał ich oglądać. To najlepsze miejsce na całym świecie. Z daleka wygląda jak kupa czarnego, dymiącego żużlu. Gdyby nie bursztyn,

w którym świeci Łaska, nikt by tam w ogóle nie pływał.

– Dlaczego znajduje się go tylko tam?

– Różnie o tym gadają. Podobno Wyspy to ostatni skrawek dawnego Raju, który zalały wody potopu, kiedy ludzie przez swoją głupotę zaczęli kumać się z demonami. Potem wszystko tam zwyrodniało w cieniu Otchłani, rozpleniły się różne bestie, na wzgórzach można nawet zobaczyć skamieniałe ślady dawnych smoków. Ale ocean do dziś wyrzuca na brzeg bursztyn, który powstał z żywicy rajskich lasów.

– To cudowne!

– Wcale nie takie cudowne, jak ci się zdaje – parsknął odźwierny, zły na siebie za to niepotrzebne gadulstwo. – Dla każdej szczypty kadzidła, którą mnisi rzucają na misę, jakiś zbieracz musi położyć na szalę swój zawieszony łeb.

Odwrócił się i zaczął tak zawzięcie skubać słonecznik, że łupinki leciały na wszystkie strony.



Dowódca straży gardził klasztornymi posługaczami i góralami z wioski, lekceważył mnichów i nie szanował chyba nawet samego Mistrza, choć musiał okazywać mu posłuszeństwo. Dobrze urodzony, bywały w świecie, obeznany z dworskimi wspaniałościami, przywykły do wydawania rozkazów pośród bitewnego huku – uważał się za kogoś ulepionego z lepszej gliny, któremu wyrządzono

niesprawiedliwość, zsyłając go na tę głuchą, nudną prowincję. Nikt nie wiedział dokładnie, za co spadł na niego książęcy gniew. Szeptano, że uwiódł córkę jakiegoś dygnitarza czy też narobił długów i sprzeniewierzył pieniądze przeznaczone na żołd dla wojska. On sam nie wspominał o tym nigdy, choć w karczmie lubił opowiadać o starych, dobrych czasach. Towarzystwa dotrzymywali mu zazwyczaj strażnicy – bardziej z wyrachowania niż z ochoty – albo przygodni kompani, różni beztroscy włóczyki, którzy w świąteczne dni trafiali pod skałę z tłumami pobożnych pielgrzymów, niczym brudna piana na fali.

Gurgul pił dużo, ryczał ochryple żeglarskie przyspiewki, zaczepiał młode wieśniaczki, wygrażał bełkotliwie komu popadło, a wreszcie nad ranem wracał do klasztoru, odprowadzany przez któregoś ze strażników, aby nie stoczył się z wąskiego przesmyku w przepaść. Walił się na legowisko i spał do południa.

Mistrz musiał słyszeć w swojej izdebce na wieży te wrzaski. Czasem przychodzili górale ze skargami, a wtedy upominał Gurgula, kazał płacić za wyrządzone szkody, ale nigdy nie wymierzył mu surowszej kary. Rozumiał dobrze, że zesłanie byłego książęcego korsarza kiedyś musi dobiec końca, a gdyby ten wrócił do Przymorza z nienawiścią w sercu, z pomocą możnych krewnych mógłby zaszkodzić klasztorowi.

Najdek starał się zawsze omijać Gurgula z daleka. Kiedy dowódca pojawiał się na dziedzińcu, wymięty i posępny, mrużąc w blasku słońca zapuchnięte powieki, dla podwładnych miał tylko przekleństwa, a dla posłu-

gaczy kopniaki. Krążył tam i z powrotem chwiejnym jeszcze po opilstwie krokiem, jakby za ciasno mu było wśród murów, złorzeczył pod wąsem, spoglądał bykiem na gromadzących się przy kadzielnicy pielgrzymów. Wszystko go drażniło, nie mógł znaleźć sobie miejsca, krzywił się nawet na zapach kadzideł. Chwilami dłonie drżały mu tak mocno – z tłumionego gniewu albo z przepicia – że musiał wsuwać je za szeroki pas.

Łagodniał tylko od czasu do czasu w pogodne wieczory, gdy na niebo wysypywały się gwiazdy. Potrafił zapatrzeć się na nie, przystanąwszy pośrodku dziedzińca z zadartą głową, wyciszony i zadumany.

– Co on tam widzi? – zagadnął kiedyś Najdek szep-tem odźwiernego, popatrując na samotną postać dowódcy, który został na opustoszałym po wieczornej ceremonii dziedzińcu.

Cabaj, który podrzemywał na ławie z wyciągniętą drewnianą nogą, odburknął coś niezrozumiale, a gdy Najdek powtórzył pytanie, mlasnął zniecierpliwiony.

– Wolisz, kiedy szuka zaczepki?

– Nie, ale to dziwne, tak stać i tylko się gapić...

Cabaj poruszył się, przetarł dłonią twarz.

– Wcale nie takie dziwne. Marynarz, który zbłądził na morzu, zawsze pyta o drogę gwiazd. Bez nich łatwo mógłby skierować kryptę w złą stronę, gdzie Martwy Pływ porwałby go prosto w Otchłań.

– Nie jesteśmy na morzu, a on nie jest już marynarzem.

– Marynarzem pozostaje się do końca życia, nawet jeśli całymi latami nie czuje się zapachu słonej wody –

odpowiedział kuternoga ostro. – Nic o tym nie wiesz, nigdy nie miałeś pokładu pod stopami, więc się nie wymądrzaj.

Najdek długo dobierał słowa, nim odezwał się znowu. Wiedział z doświadczenia, że ilekroć Cabaj zaczynał mówić w ten sposób, porzucając gburowatą obojętność, można było dowiedzieć się od niego wielu ważnych rzeczy, ale też łatwo było go urazić i rozzłościć.

– Ty też przecież pływałeś, a nie wpatrujesz się nocami w niebo... – podsunął ostrożnie.

– Ja to co innego. Jestem stary i wiem, że nie wrócę już na morze. Nie tęsknię aż tak bardzo.

Najdek przeniósł spojrzenie na dowódcę straży, jakby chciał dostrzec w jego nieruchomej sylwetce oświetlonej przez wchodzący księżyc coś nowego, czego przedtem nie zauważał.

– A więc on tęskni... Dlatego tak trudno mu tutaj żyć.
– W zamyśleniu pokiwał głową. – Teraz go rozumiem.

– Tylko nie mów mu o tym, bo podziękuje ci za współczucie pięścią. – Odźwierny powrócił do swego zwykłego, gderliwego tonu. – To sukinsyn i pijak, którego w Przymorzu mieli już dosyć.

Chłopak przekonał się już dawno, że ludzie na ogół noszą w sobie więcej myśli i uczuć, niż chcą okazać, ale nie przypuszczał nawet, że może to dotyczyć także Gurgula. To odkrycie sprawiło mu przyjemność; podobnie czuł się wówczas, gdy po raz pierwszy zrozumiał, że świat jest daleko większy od podgórskiej doliny, którą w całości mógł objąć spojrzeniem ze szczytu klasztorного muru.

– Opowiedz mi o nich... – poprosił, w rozmarzeniu odchylając do tyłu głowę.

– O czym?

– O gwiazdach. Słyszałem, że rozpalają je anioły najniższego chóru, każdy własną.

– Za dużo podsłuchujesz, co tam uczniowie mamroczą nad swoimi zwojami – zganił go Cabaj sucho. – Zwykli ludzie, jak ty i ja, nie muszą wiedzieć takich rzeczy. To nie przydaje się przy zamiataniu dziedzińca ani przy czerpaniu wody z cysterny.

– Nigdy nie byłeś ciekaw, jak one wyglądają z bliska? Dlaczego świecą? I co się z nimi dzieje, kiedy spadają?

– Dosyć! – Cabaj uderzył kulasem w ziemię, aż zsunął się narzucony na ramiona kożuch. – Inni chłopcy w twoim wieku kradną śliwki po sadach i oglądają się za dziewczuchami, tylko ty tracisz czas na takie głupie rozmyślanie. To pewnie od tego przesiadywania na murach i gapienia się na góry. Jak tak dalej pójdzie, poproszę Dzwonnika, żeby trzymał cię krócej.

Najdek przygryzł wargę. Po raz pierwszy przyszło mu głowy, że porównywanie Cabaja z Gurgulem nie zawsze musi wypadać na korzyść tego pierwszego. Omiótł wzrokiem dziedziniec, ale nie było tam już nikogo. Może dowódcę spłoszyły podniesione głosy, a może chmury, które napływały od zachodniego krańca nieba, gasząc stopniowo rojowisko gwiazd.



Późną jesienią, wraz z jedną z ostatnich tegorocznych pielgrzymek, przywędrował do klasztoru jakiś dziwny człowiek. Mimo słoty był bosy, odziany w brudne łachy, ze skudloną brodą i długimi, rozczochranymi włosami, poprzetykanymi już tu i ówdzie kosmykami siwizny. Wyglądał na podejrzanego włóczęgę albo żebraka. Odźwierny nie chciał puścić go za bramę, lecz pielgrzymi wstawili się za nim. Mówili, że przyłączył się do nich w drodze i choć z początku nie wzbudzał niczyjego zaufania, szybko zjednał wszystkich pokorą, wstrzemięźliwością i pogodą ducha.

Cabaj ustąpił niechętnie.

– Niech stanie daleko od kadzielnicy, pod murem, żeby nikt nie musiał go oglądać – zarządził, kręcąc z niezadowoleniem głową. – Ubóstwo to wprawdzie nie występpek, ale każdy powinien znać swoje miejsce.

Po wieczornej ceremonii ofiarnej, gdy poprzez dymy zamrugały pierwsze gwiazdy, a drżący jeszcze od śpiewu mnisi cicho rozeszli się do swoich cel, nędzarz znowu zjawił się przy bramie, narzucając na głowę postrzępiony kaptur, jakby szykował się do drogi.

– Pchły cię gryzą, że nie możesz usiedzieć na miejscu? – sarknął Cabaj. – Nikt cię przecież nie wygania. Każdy pielgrzym ma prawo do noclegu i posiłku na koszt klasztoru, nawet taki, który nie złożył żadnej ofiary.

Bosonogi wędrowiec zatrzymał się na chwilę, z uszanowaniem zgiął kark.

– Dziękuję za dobre słowo, bracie, ale muszę iść. Ten, który mnie wezwał, nie może czekać.

– Nie jestem twoim bratem ani żadnym krewnym. – Odźwierny wzruszył ramionami. – Idź, skoro chcesz, ale nie spodziewaj się, że górale we wsi będą bardziej gościnni. Karczmarz też nie puści cię za próg, bo ten chciwiec z daleka potrafi usłyszeć, komu brzęczy co w mieszk, a komu nie.

– Nie wrócę do wsi, pójdę dalej.

– Dalej? Nie ma żadnego dalej! – Cabaj gniewnie potrząsnął kluczami. – Zabłądziłeś albo ktoś zadrwił z ciebie i wskazał ci złą drogę.

Nędzarz powoli rozprostował kark. Spod kaptura w blasku płonącego przy bramie łuczywa błysnęły oczy.

– Ten, który wskazał mi drogę, z nikogo nie drwi – odpowiedział spokojnie, ale stanowczo. – On przygotowuje dla mnie miejsce na nocleg, nakarmi mnie i napoi.

Wyszedł za mury, pomimo ciemności pewnym krokiem pokonał skalny przesmyk i niebawem zniknął wśród gmatwaniny cieni na zboczu Rogacza.

Najdek, który przysłuchiwał się tej rozmowie z boku, zaniepokojony szarpnął odźwiernego za rękaw.

– Idzie w góry! Trzeba go zawrócić...

Cabaj patrzył przez jakiś czas w milczeniu w gęstniejący za klasztornym murem mrok, potem, stękając, podniósł się z ławy i zamknął wrota.

– Widywałem już takich jak on – mruknął, zasuwa-
jąc ciężką sztabę. – Nikt go nie zawróci, chyba siłą. To pustelnik. Powinienem był wcześniej się tego domyślić. Odkąd siedzę przy bramie, przez klasztor przewinęło

się kilkunastu podobnych. Wierchy przywabiają ich z daleka.

– Czego tu szukają?

– Cóż... Niektórzy z nich mają pewnie nieczyste sumienie i jakiś czas muszą zejść ludziom z oczu, ale bywają i tacy, którzy chcą na zawsze usunąć się od świata. Mają nadzieję, że w górach będą mogli żyć sam na sam ze Słońcem.

Najdek przymknął oczy. Słowa Cabaja, choć obojętne, a nawet z lekka wzgardliwe, dziwnie rozkołysały jego wyobraźnię.

– To musi być piękne życie... – szepnął.

– Tylko ci się tak wydaje. – Cabaj rozżłościł się niespodziewanie. – Pustelnik też ma żołądek i musi z czegoś żyć. Jeśli jest rozsądny, buduje sobie chatkę w pobliżu traktu, gdzie każdy może go znaleźć i złożyć jałmużnę w zamian za błogosławieństwo albo dobrą radę. A kto pójdzie w góry szukać szaleńca? Chyba tylko drugi taki sam.

– Więc co z nim będzie?

– Prawie wszyscy, których pamiętam, wrócili do klasztoru po kilku dniach, a tych, którzy nie wrócili, nikt więcej nie zobaczył. Trzeba być głupcem, żeby w ogóle na coś takiego się porwać. Nawet drwale, chociaż znają góry najlepiej ze wszystkich, nie zostają tam na noc, jeśli nie muszą. – Machnął ręką w stronę zawartej bramy. – Szukać szczęścia w takim miejscu to jak wypatrywać światła w Otchłani.

Miał rację; pustelnik przepadł bez wieści. Najdek pamiętał o nim może ze wszystkich najdłużej, wypa-

trywał go nawet przez wiele dni na zalesionych zboczach góry, ale wreszcie i on zrozumiał, że dziwny włóczęga nie pokaże się więcej. Pewnie nie spotkał tego, kto miał go nakarmić i napoić. A może ktoś taki w ogóle nie istniał?

Krawędź: Otchłań
Copyright © Piotr Patykiewicz
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Krzysztof Zarzycki
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-226-7
epub ISBN 978-83-7995-227-4
mobi ISBN 978-83-7995-228-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Krzysztof Zarzycki
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedyne – centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływy pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedyne próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bez pardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie obławy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwywanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieskrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobaty Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!





CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY ARTUR OLCHOWY

Świat sprzed wojny, która zdziesiątkowała ludzkość, pamięta już tylko Kośława – stara zielarka mieszkająca nieopodal mazurskiego Okartowa. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, przyjmuje na ucznia syna miejscowego gospodarza, by przekazać mu całą swą wiedzę.

Tymczasem do wsi przybywa nowy wikariusz. Realizując swoją szczególną misję, burzy ustalony ład okartowskiej społeczności.

W walce o małą ojczyznę i jej mieszkańców Czarownicy przyjdzie zmierzyć się nie tylko z bezwzględnymi i niekiedy szalonymi ludźmi, lecz także z własną starością, chorobą i sumieniem.

Przed wami niesamowita książka autora, którego naprawdę warto zapamiętać. Szczерze polecam!- Robert J. Szmidt, autor Samotności Anioła Zagłady, Łatwo być bogiem i Ucieczki z raju

Proza Olchowego to proza specyficzna. Jeśli szukacie literatury stricte rozrywkowej, to „Czarownica...” jak i inne produkcje Artura nie jest dla was. Rozrywkę tam bowiem znajdziecie, ale doprawioną przyprawami, które niekoniecznie zniesie co słabsza czytelnicza głowa.

- Marcin Podlewski, autor cyklu *Głębia*

PIERWSZY TOM OPowieści ZNAD KAŁUŻY





SZABLON AGNIESZKA SUDOMIR

Adrian Lawson ma wszystko: cudowną rodzinę, wspaniały dom i pasjonującą pracę. Żyje w samym centrum Fabryki Snów, gdzie konsekwentnie buduje swój mały raj. Pewnego ranka budzi go sygnał przychodzących SMS-ów. W tym momencie kończy się rzeczywistość, którą Adrian znał. Teraz musi zmierzyć się z prawdą, o jakiej nawet mu się nie śniło. Czy zaufa samemu sobie i podejmie właściwe decyzje? Od tego będzie zależało nie tylko bezpie-

czeństwo jego najbliższych, ale znacznie, znacznie więcej.

Czy przyszłość tak bardzo różni się od teraźniejszości? Czy nowy wspaniały świat zapewni nam szczęście? Czy tęsknota jest grzechem? A wreszcie – czym jest Szablon i jaką rolę odegra Adrian?





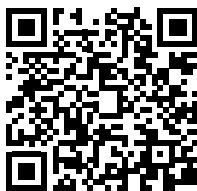
IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leśny, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyły i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – **Paweł Majka**, autor *Pokoju światów* i *Wojen Przestrzeni*, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA



MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54
SZARE PŁASZCZE

KOMANDORIA 54
MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgłiszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie. – Jacek Łukawski, autor Krew i stal, Grom i szkwał i Pieśń i krzyk

PIERWSZY TOM SERII SZARE PŁASZCZE





TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

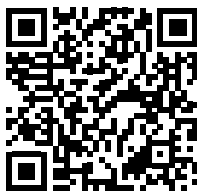
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom

godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu! – Jacek Wróbel, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





TANIEC MARTIONETEK TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony. – **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszcz*

„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat. – **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

Tak dobre, że czytałem na głos! – **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY





OSTATNI PROROK MARCIN KISZELA

Damian dorasta w latach dziewięćdziesiątych, spędzając czas na podwórku i w salonach gier. Po śmierci przyjaciela zaczyna mieć wizje, których się boi i których nie rozumie. Zamykając oczy, widzi opustoszały świat.

Agata uciekła z małego rodzinnego miasteczka, by szukać szczęścia w Krakowie. Nie potrafi się jednak odnaleźć w realiach dużego miasta, jego zgiełk doprowadza ją na skraj załamania nerwowego. Jak-

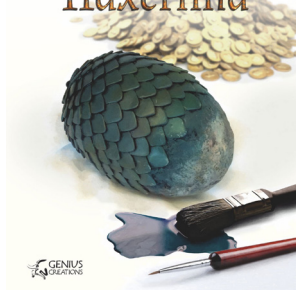
by tego było mało, jej ukochany Damian twierdzi, że nadchodzi koniec świata.

Ksawery, designer w branży elektronicznej rozrywki, przyjaźni się z Agatą i Damianem. Nie może jednak stanowić dla nich oparcia, gdyż głębokie uzależnienie od wirtualnej pornografii doprowadza go na skraj psychozy.

Czy nadchodzi kres dni i świat stanie w obliczu zagłady? Czy może tylko każdy z nas żyje w piekle skrojonym na swoją miarę?



Jacek Wróbel
**Cuda i Dziwy
Mistrza
Haxerlina**



CUDA I DZIWY
MISTRZA HAXERLINA
JACEK WRÓBEL

W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i daw-

nyymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłódami rzucanymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

“Życie wędrownego maga i alchemika powinno być ułane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu “Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemylem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orężniący klienci potrafią całe lata chować urazę...

Andrzej Pilipiuk, „ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA





PANI CZTERDZIESTU ŻYWIOŁÓW WITOLD DWORAKOWSKI

Załoga debrisowca „Demeter” składa się zaledwie z dwóch osób: najlepszego w swoim mniemaniu pilota w galaktyce Erwina Dexmore’a i genialnej w mniemaniu wszystkich inżynier Kariny Wulf. Mimo że różnią się oni od siebie jak supernowa od czarnej dziury, stanowią zgrany zespół, zdolny wykonać nawet najniebezpieczniejsze misje w najodleglejszych zakątkach galaktyki. Biznes kwitnie, a reputacja załogi

„Demeter” właściwie nie mogłaby już być lepsza.

Wszystko zmienia się, kiedy w trakcie jednej z podróży natrafiają na legendarny okręt piracki, „Panią Czterdziestu Żywiołów”. Rozpoczyna się pościg aż po horyzont zdarzeń i ucieczka do równoległych wymiarów. A to dopiero początek...





POKÓJ ŚWIATÓW PAWEŁ MAJKA

I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych

miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmara dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

NAGRODA LITERACKA IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO
NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA



PETERKIN & BROKK:
KSIĘGA CZTERECH
GRZEGORZ GAJEK

Bycie niziołkiem w szeregach policji to nie jest bajka. Odo Peterkin przekonuje się o tym niemal każdego dnia służby. Znosi jednak uszczypliwe komentarze elfów, ludzi i krasnoludów, gdyż tym, co sprawia mu największą przyjemność, jest rozwiązywanie skomplikowanych zagadek kryminalnych.

Tuur Brokk jest na pierwszy rzut oka przeciwieństwem Peterkina. To uosobienie idealnego policjanta. Krasnolud, weteran wojenny, bokser i postrach przestępczego świata, jak również, o czym wie niewiele, poeta i niepoprawny romantyk.

Pierwszym wspólnym zadaniem Odon i Tuura jest wyjaśnienie tajemniczej śmierci znanego muzyka Viventa Rossiego. Na ich drodze staje armia ożywieńców, powołana do życia w czasach Wielkiej Wojny, magowie i wilkołaki, dziennikarze i eugenicy, a nawet, o zgrozo, dziewczki wszeteczne! A to bynajmniej nie koniec niespodzianek...

Z daleka detektyw Peterkin i śledczy Brokk przypominają najstynniejszego tandem literackich detektywów XIX stulecia z opowiadań Artura Conan Doyle'a. Kiedy jednak przybliżyć lupę, na plan pierwszy wychodzą nie podobieństwa, ale te wszystkie smakowite różnice, które sprawiają, że ich śledztwa są tak intrygujące.

Michał Cetnarowski, publicysta, redaktor Nowej Fantastyki

